

Przez przejście graniczne w Hrebennem przeszło już setki tysięcy uchodźców z Ukrainy. Nie zostali pozostawieni sami sobie, ludzie wyszli do nich z sercem na dłoni

12 tysięcy przyczyn, dla których warto tu być

Lubycza Królewska/Hrebenne

Punkt recepcyjny w hali sportowej przy szkole podstawowej w Lubyczy Królewskiej działa od wybuchu wojny w Ukrainie. Na tym bezpiecznym „dworcu” oraz przy przejściu granicznym w Hrebennem ludzie udowadniają czym jest człowieczeństwo i ratują honor człowieka.

Tydzień przed wybuchem wojny, wojewoda lubelski Lech Sprawka zwołał sztab kryzysowy. W obawie przed rosyjską agresją, a co za tym idzie ewentualną migracją Ukraińców, konieczne było przygotowanie się do przyjęcia uchodźców. Odgórne dyspozycje dotyczyły utworzenia tzw. punktów recepcyjnych w pobliżu przejść granicznych. Po wizycie pełnomocnika wojewody w Lubyczy (niedaleko przejścia w Hrebennem) stwierdzono, że jedynie hala sportowa przy szkole w Lubyczy spełnia wymogi. Na kolejnym spotkaniu w Tomaszowie wojewoda polecił tam właśnie przygotować punkt. Przywieziono łóżka polowe, materace. Wyznaczone zostały osoby, które miały koordynować jego pracę. Działalność rozpoczął już w dniu wybuchu wojny. Zaledwie po kilku godzinach okazało się, że niektóre założenia trzeba było zweryfikować.

– Podjąłem decyzję, że będziemy wspomagać system jako gmina, przyjmimy na siebie całość działań związanych z pomocą humanitarną. Niezbędna w punkcie recepcyjnym okazała się praca wolontariuszy. Na mój apel już pierwszego dnia zjawili się wiele osób, na początku byli to mieszkańcy gminy Lubycza Królewska, m.in. panie z kół gospodyń wiejskich i strażacy z OSP, a stopniowo przybywało nam wolontariuszy z terenu całej Polski i zagranicy. Zaczęliśmy przyjmować i segregować dary – mówi Marek Łuszczynski, burmistrz Lubyczy Królewskiej.

Mają pełne ręce roboty

Prawie wszystkie koła gospodyń z gminy gotują na zmianę gorące posiłki. Dostały pojemne termosy, w których wygodnie przewożą jedzenie.

Częścią humanitarną w punkcie recepcyjnym kieruje obecnie 16-18 koordynatorów. To pracownicy urzędu, dyrektorzy szkół i nauczyciele. Mają 4-godzinne dyżury. Każdy na swojej zmianie musi sobie zapewnić co najmniej dwóch wolontariuszy. Zdaniem burmistrza, dotychczas tych ostatnich było w punkcie w sumie blisko dwustu. Bywały dni, gdy konieczna była obecność nawet 20 wolontariuszy, strażaków, większej liczby policjantów.

W środę 6 kwietnia, gdy odwiedziliśmy punkt w Lubyczy, krzątało się ich mniej niż dziesięciu.

– Tutaj zawsze jest co robić. Trzeba posprzątać w środku, na zewnątrz, zadbać o dzieci, posegregować dary, podać herbatę czy coś innego. Są osoby, które przyjeżdżają tu z daleka na kilka dni, mówią, że chcą pomóc. Więc ich zapraszamy – opowiada Katarzyna Piechnik, sekretarz gminy i koordynator w punkcie recepcyjnym. Zastaliśmy ją przy stolikach z jedzeniem i warniku, w którym grzała wodę na herbatę i kawę dla uchodźców. Oprowadziła

nas po punkcie i pokazała magazyn: posegregowane w pudełkach różne rzeczy, jedzenie, chemię, kosmetyki, przy gablocie z pucharami zdobytymi przez uczniów szkoły złożone ubrania. Akurat jedna z wolontariuszek szukała ubranek dla kilkuletniego dziecka. Inna niosła szczoteczki do zębów osobom, które dopiero przyjechały.

W magazynie spotkaliśmy Tatianę, dziewczynę, która z obwodu lwowskiego przyjechała do znajomych w Rudzie Żurawieckiej już 27 lutego. Mieszka u nich razem z synem. Chłopiec chodzi od miesiąca do miejscowej szkoły, zaaklimatyzował się, ale przede wszystkim poczuł bezpiecznie.

– Wyjące syreny alarmowe, uciekanie do schronów, to było straszne. To jest tak wielki stres, że wyjechaliśmy z domu. Nasza rodzina została. Ja tu nie mogę siedzieć w domu, wiem co się tam dzieje, wiem od czego uciekają ludzie. Czuję, że muszę tutaj pomagać, chociaż tyle mogę zrobić

– mówi Tatiana, która jest w punkcie recepcyjnym codziennie.

– Teraz mamy tu wyjątkowo spokojnie. Jest tylko kilkadziesiąt osób. Bywały dni, gdy nie było jak przejść. Gdy noce były mroźne, a na granicy przed przejściem czekała kilkukilometrowa kolejka ludzi, organizowaliśmy dla nich ciepłe rzeczy. Szybko trzeba było zebrać kurtki, rękawiczki, czapki, koce, zrobić zbiórkę wózków, bo kobiety szły z dziećmi na rękach. Robiliśmy kanapki na drogę i też je podawaliśmy. A w międzyczasie pomagaliśmy ludziom tutaj w punkcie – relacjonuje sekretarz.

Misja: pomóc zagubionym

Po przekroczeniu granicy uchodźcy, którzy nie wiedzą gdzie dalej jechać albo nie mają transportu, przywożeni są przez straż pożarną i innych kierowców do punktu recepcyjnego. Większość rejestruje się w punkcie. Idzie więc głównym wejściem na salę gimnastyczną, do stolików, przy których siedzą pani Ula, pan Józef, Tadeusz i Taras – Ukrainiec, który jest tutaj tłumaczem. Są zatrudnieni przez Urząd Wojewódzki w Lublinie. Ich zadaniem jest zebrać informacje o osobie, która do punktu przyjechała, odnotować dokąd jedzie. Pierwszy kontakt z uchodźcą to też pierwsza okazja, by zauważyć, czy komuś nie trzeba udzielić specjalistycznej pomocy.

– Od samego początku uczulam moich ludzi na pewne osoby. To widać, kto jest osobą dobrze sytuowaną. Osoby pracujące w punkcie recepcyjnym muszą w trakcie rejestracji „wyłapać” osobę potrzebującą. Do pomocy są tłumacze obecni na każdej zmianie. Pojawiły się różnorodne fundacje, do których kierujemy potrzebujących

– głównie dzieci. Współpracujemy też z adwokatami i notariuszami. Nasi goście to osoby z różnym statusem, bezpaństwowcy, dzieci, które przyjeżdżają z prawnym opiekunem i dalszą rodziną, ale zarówno ojciec, jak i matka są żołnierzami i muszą wrócić na Ukrainę. Wobec tego notariusz przygotowuje akt pełnomocnictwa opieki nad dzieckiem, wtedy babcia może zająć się takim dzieckiem, a rodzice wracają walczyć – tłumaczy Paweł Borowiec, kierownik punktu recepcyjnego, na co dzień pracownik Muzeum Skamieniałych Drzew w Siedliskach.

Podkreśla, że priorytetem jest tutaj bezpieczeństwo każdej osoby.

– Robimy wszystko, żeby nie doszło do handlu dziećmi i kobietami. Sala została podzielona na dwie strefy. Jest strefa ogólna, gdzie uchodźcy zostają zarejestrowani, mogą otrzymać startery do telefonów. Jest strefa intymna, gdzie znajdują się jedynie uchodźcy. Do punktu

wejdą osoby, które chcą się zarejestrować i które oferują, że mogą zawieźć kilka osób do danej miejscowości. Ale nie mogą wejść do części intymnej. W przypadku większej ilości osób, mężczyźni muszą ustąpić miejsca kobietom z dziećmi. To one wchodzi do środka, dla panów są namioty na zewnątrz – mówi Borowiec.

Specjalnie dla mam z małymi dziećmi wydzielona jest osobna sala, w której mają one więcej komfortu, ciszy i prywatności.

Wszystko dla dzieci

To właśnie dzieci najbardziej poruszają serca osób, które pracują w punkcie recepcyjnym.

– Od początku wojny przez nasz punkt przeszło 12 tysięcy dzieci, to jest 12 tysięcy przyczyn, dla których warto było tu być. Najmniejsze mieliśmy 5-dniowe. Kobieta w drodze do Polski była już na drugi czy trzeci dzień po zabiegu cesarskiego cięcia – opowiada kierownik.

Na początku, gdy było mnóstwo dzieci, wolontariusze wchodziłi w rolę nianieek, żeby odciążyc matki.

– Pewnej nocy była cała sala ludzi, 300 matek. I one w końcu zasnęły ze zmęczenia, dzieci też, ale maluchy ok. 3 w nocy zaczęły się budzić. W pewnym momencie matki spały, a dzieci się bawiły, śmiały, biegały z naszymi wolontariuszami. To są momenty, w których wiemy, po co ten punkt powstał – mówi Paweł Borowiec.

– Przyjechałem któreś soboty i zastałem policjantów z Wrocławia z dziećmi na boisku. Grali w piłkę, robili karuzelę, coś pięknego. To miłe – dodaje burmistrz Łuszczyński.

Potwierdzeniem tego, że dzieci dostały tu mnóstwo ciepła i miłości, są rysunki. Na niemal każdym przewija się motyw solidarności Polski z Ukrainą, są flagi, serca i wdzięczne „diakuju”.

– Punkt jest po to, żeby dać odprężenie i nadzieję. Żeby ludzie, którzy przyjeżdżają tu, nie wiedząc co ich czeka, którzy często stracili wszystko, co mieli, przez nasz uśmiech, rozmowę, przez to, że okażemy im ludzkie podejście, że jesteśmy z nimi i dla nich, odzyskali z powrotem nadzieję, że będzie dobrze – mówi Maciek, jeden z wolontariuszy, członek Zakonu Maltańskiego, który jest w Lubyczy niemal od początku istnienia punktu. Zakon przyjechał z namiotem, grzejnikami, serwuje kawę, herbatę, a poza tym robi wszystko, co w danej chwili trzeba.

– Nie każdy chce siedzieć w środku, a tu można przyjść, zmienić perspektywę. Staramy się rozmawiać, wysłuchać, nie zawsze rozumiejąc, co oni do nas mówią, ale chodzi o to, żeby mieć do kogo się odezwać – dodaje Maciek i przedstawia Kacpra, który grilluje w Lubyczy od kilku tygodni, śpi w samochodzie i nie ma zamiaru się stąd ruszać, dopóki będą uchodźcy.

Są osoby, które regularnie dostarczają gotowe posiłki, nie przedstawiają się nawet, tylko przywożą i zostawiają. Na granicę zawozi je m.in. proboszcz ks. Krzysztof Błażejowski. Akurat pakował jedną z dostaw, gdy rozmawialiśmy z Maćkiem i leśniczym leśnictwa Siedliska – Bogusławem Łuszczarzem.

Grochówka w eskorcie

Pan Bogusław jest też komendantem OSP w Siedliskach. To on i jego ludzie pierwsi zaczęli gotować dla uchodźców przekraczających granicę.

– Jak tylko wojna wybuchła, zrobiliśmy zebranie ze strażakami, co robimy. A mamy na wyposażeniu wojskową kuchnię polową. Mamy wojskowych kucharzy weteranów z armii, którzy są mistrzami w gotowaniu. Złożyliśmy się więc ze swojej kieszeni na produkty i pierwsi byliśmy na granicy w Hrebennem. To był trzeci dzień wojny, było bardzo zimno. Popatrzeć na tych ludzi, kobiety z dziećmi, to łza się w oku kręciła. Pamiętam, była niedziela, ja jestem człowiekiem wierzącym, więc chodzę do kościoła i żadnych prac fizycznych nie robię w niedzielę, ale wtedy trzeba było pojechać po drzewo, pociąć piłami i je przywieźć. Rozpaliliśmy kilkanaście ognisk, żeby się ludzie mogli ogrzać, bo dzieci z zimna płakały. Goryczka się w gardle robiła, ale dobre to było, bo zaraz ruszyli nam z pomocą ludzie dobrego serca, zaczęli nas sponsorować, m.in. masarnia w Narolu. Przyjechali inni z jedzeniem i piciem, z kuchnią, Lasy Państwowe, Kuchnie Świata, tomaszowscy Rycerze Kolumba, Litwini, nasze koła gospodyń z Siedlisk i Hrebennego. Wyliczyłem, że od 26 lutego do 4 kwietnia wydaliśmy 6 tys. 200 porcji grochówki – precyzuje komendant. Mówi, że podziękowania należą się szczególnie Stanisławowi Gutowi, który mimo wieku (ma 75 lat) stał przy kotłach nawet po 12 godzin. A także: Janowi Lewko, Zofii Lewko, Krystynie Łyszczarz, Zbigniewowi Jeżowskiemu, Zofii Wywrockiej, Małgorzacie Łuszczynskiej, Ewelinie Lentowicz, Józefowi Kopczackiemu, Edwardowi Kulpie, Tomaszowi Gutowi i paniom z Ukrainy.

Wojskową grochówkę strażacy wozili nawet w eskorcie policji, przy sygnałach dźwiękowych, bo były takie tłumy, że sami nie dojechaliby jak najbliżej granicy.

– Niektórzy myśleli pewnie, że jakiś cenny towar wieziemy, a to nasza zupa była – uśmiecha się leśniczy.

Razem z nami pan Bogusław pojechał do Hrebennego. Przedstawił nam wyjątkowe małżeństwo – Joannę i Krzysztofa Ulanowskich, którzy mieszkają kilkaset metrów od przejścia granicznego.

Pierwsi do pomocy

– To pierwszy dom w Unii Europejskiej, nie na końcu świata – mówią Ulanowscy i opowiadają co się z tym wiąże. – Tak tu jest, że zawsze jesteśmy w gotowości. Ludzie wiedzą, że pomożemy w każdej sytuacji. Nawet po takie rzeczy jak igła i nitka do nas przychodzili. Ale tu nie chodzi o wartość, chodzi o zasadę – tłumaczą. – Wojna wybuchła w czwartek. Wieczorem już ludzie pukali do naszych drzwi, żeby chociaż dziecku mleka zagrzać. Żona narobiła herbaty, nie było kubków jednorazowych, to wszystkie szklanki jakie mamy w domu, daliśmy. Zadzwońtem do naszego burmistrza i mówię, że trzeba coś zrobić. Potem do dziewczyn z KGW w Hrebennem. Następnego dnia już miały herbatę, ściągnęły koleżanki z Siedlisk. W niedzielę kto jakie miał ciasto, tutaj przywiózł. Szybko się rozniosła informacja, że potrzeba pomoc i zaczęli dołączać kolejni ludzie, z jedzeniem, piciem, wolontariusze – opowiada wzruszony pan Krzysztof. Swoje podwórko udostępnił na składnie darów i parking.

Państwo Ulanowscy pomagają, jak mogą. On sprzęta, składa śmieci, jak zabraknie światła czy coś się zepsuje, to zaraz naprawia. Pani Joanna m.in. pomaga myć naczynia.

– Ci, którzy przywożą i rozdają jedzenie, nie mają tu wody, a przecież naczynia muszą być czyste. Miałam tu kiedyś 7 czy 8 rzędów garnków – mówi pani Ulanowska. A jej mąż dodaje, że ona czuwa cały czas, nawet w nocy nie śpi, tylko jest w gotowości.

– Burmistrz Marek Łuszczynski jest im wdzięczny za taką postawę i wrażliwość, którą zresztą okazali nie pierwszy raz.

Poza tym jest wdzięczny wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób pomogli. Wolontariuszom, koordynatorom i darczyńcom – bezgranicznie, za ich trud, poświęcenie i dobre serce.

Każdy ma swoją historię

– Jestem tutaj drugi tydzień i obserwuję jak wszyscy sprawnie i dobrze działają – mówi Monika Szczygielska, która przyjechała w delegacji z Ośrodka ds. Cudzoziemców w Warszawie (pracownicy tego ośrodka są delegowani do każdego punktu recepcyjnego przy granicy). – Moim zadaniem jest nadzorowanie pracy służb urzędu wojewódzkiego, innych służb, wolontariuszy, wysyłanie raportów, ile osób jest codziennie rejestrowanych, ile osób wyjeżdża i gdzie. Udzielam też informacji, jeśli ktoś jest chętny na złożenie wniosku na ochronę międzynarodową – tłumaczy pani Monika. Poza swoimi obowiązkami, jak każdy w szkole, która stała się pewnego rodzaju dworcem i przystanią, żyje uchodźcami. Rozmawia z nimi, zapamiętuje twarze, historie.

Ostatnio jeden mężczyzna z Tadżykistanu pokazywał jej zdjęcia i opowiadał jak ratował ludzi z gruzów zbombardowanego domu, inny mówił o trolejbusach w Charkowie. Słyszała o kobiecie, która przekroczyła granicę z 15 kotami w samochodzie – zbierała je po drodze. Maciek z Zakonu Maltańskiego mówi, że zwierzęta są tu stałymi gośćmi. Pitbule siedzą obok buldogów i małych pieszków i kotów. Żaden nie warczy i nie szczeka. To też coś znaczy.

Ludzie cieszą się tu małymi rzeczami. Zdarza się, że są tacy, co przyjechali bez skarpet. W kłapkach, chociaż na dworze był mróz. I te skarpety czy buty, które dostają, wywołują uśmiech na ich twarzy.

Bywają też osoby, które mają wielką traumę, tak jak pewna dziewczyna, na oczach której zginęła jej matka. Przyjechała do Lubyczy z babcią, nie mówiła nic od tamtej tragedii. Z takimi ludźmi rozmawia psycholog, choć wiadomo, że jednorazowa terapia nie pomoże, bo przez lata będą wracać do emocjonalnej stabilizacji.

Wielu uchodźców nie ma planu na przyszłość, deklaruje tylko chęć wyjazdu do naszej stolicy. Gdy tylko uzbiera się 40 osób w danym kierunku, to organizowany jest autokar.

– Na początku dużo osób miało obrany cel. Ale ten okres już mija i w tej chwili wielu pierwszy raz jest poza swoim miastem czy wsią. I tu jest ogrom pracy, staramy się wyłapywać takie osoby, pytać jaka jest ich sytuacja, czy kogoś mają. Dużo czasu poświęcamy na tłumaczenie, że Warszawa to miejsce, które nie może wszystkich przyjąć i że nie wszystko jest tam za darmo. Jako urzędnicy wojewody mamy ogromną bazę miejsc noclegowych z pobytem bezterminowym, z wyżywieniem, tyle tylko, że w mniejszych miastach. Niestety trudno jest ich przekonać – rozkłada ręce Paweł Borowiec. Nie mniej jednak cieszy się, że w punkcie, który koordynuje każdy jest zaopiekowany, a ludzie w nim pracujący czują się potrzebni.

Łańcuch zależności

– Powstanie punktu recepcyjnego i zasady funkcjonowania to pomysł rządu i wojewody. Z urzędu wojewódzkiego dostaliśmy pieniądze na prowadzenie punktu i od tego miesiąca to gmina prowadzi punkt. Angażują się radni RM na czele z przewodniczącym Mariuszem Lewko, pracownicy samorządu, urzędu wojewódzkiego, ale bez pracy wolontariuszy i ludzi dobrej woli trudno byłoby zapewnić pomoc uchodźcom w takim stopniu, jak to robimy. Poza osobami zatrudnionymi w punkcie recepcyjnym przy ewidencji (a jest to około 20 osób)

wszyscy pozostali są wolontariuszami. Zabrakłoby pieniędzy, żeby ich wynagrodzić. A zresztą serca nie da się kupić. Pieniądze są potrzebne, ale idą też na inne rzeczy, opłaty za śmieci, wodę itd. – mówi burmistrz Lubyczy.

Hala sportowa w Lubyczy będzie otwarta dla uchodźców do 24 kwietnia. Jeśli nie będzie potrzeba aż tyle miejsca, prawdopodobnie punkt zostanie przeniesiony do świetlicy w Lubyczy. Tam są podobne warunki, jedynie sala jest mniejsza (pomieści do 50 osób). W razie potrzeby szkoła znowu otworzy drzwi przed uchodźcami. Wszyscy jednak modlą się, by wojna się skończyła.

Co warto jeszcze wspomnieć, w Lubyczy działają trzy magazyny, do których przywożone są dary z Polski i świata. Stąd jadą dalej. Rozwożą je prywatnymi busami chętni mężczyźni, m.in. Mariusz Skorniewski ze swoją ekipą ze Stowarzyszenia Robim co Możem.

– Jestem w stałym kontakcie z merem Żółkwi i Rawy Ruskiej. Tam docierało wiele transportów. Dostaliśmy informację, że są inne potrzebujące miejsca i zmieniliśmy kierunki. Od jakiegoś czasu wozimy dary m.in. do Mostów Wielkich. Jest tam dom dziecka. Dzieci z niego są w Polsce, ale do budynku przywieziono inne, ze wschodu Ukrainy – podaje Marek Łuszczczyński.

– Robimy swoje, tak po prostu. Niektórzy anonimowo. Pomagamy i będziemy pomagać, jak długo będzie trzeba. Jestem dumny z mieszkańców gminy i dziękuję im za to, dziękuję też wszystkim wolontariuszom z Polski i zagranicy – składa podziękowania burmistrz Lubyczy Królewskiej.